Nr. 40 Rok 2 Kraków, dnia 5 października 1941. 40 gr.

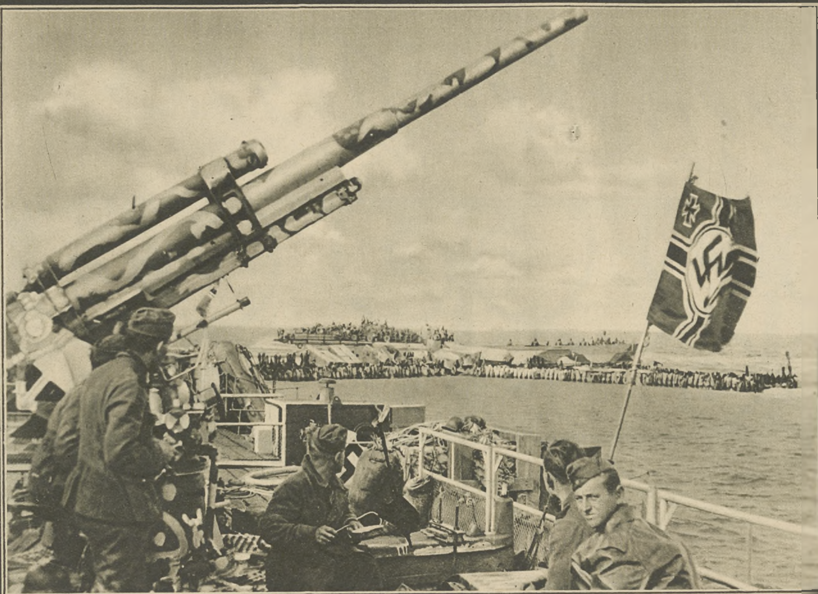
Ilustrowany KURJER POLSKI



RZUT OKA NA KIJÓW

Nasza ilustracja przedstawia widok z wieży Ławry kijowskiej, znajdującej się na cytadeli, na miasto zajęte w dniu 20 września przez wojska niemieckie. Teraz dzwonią tu znów dzwony, które milczały przez dwa dziesiątki lat. Na tylnym planie widzimy most na Dnieprze podpalony przez bolszewików.

Fot. Ass. Press





Łodzie szturmowe zdobywają wyspy Moon i Ozylię

Wyspy nie są już dziś wyspami. Okazało się to na wielką skalę w wypadku wyspy Krety, wykazały to teraz znowu oddziały niemieckie przy zajęciu wysp Moon i Ozylii. Jak w wypadku Krety zajęcia dokonały oddziały spadochroniarzy, tak wyspy bałtyckie i estońskie zostały zajęte przy pomocy łodzi szturmowych. Nasze ilustracje u góry i na prawo przedstawiają nacierające łodzie szturmowe. Za nimi idzie (ilustracja na lewo) na większych okrętach wojsko, broń i amunicja. Nawet najdzielniejsza obrona nie może przeszkodzić wylądowaniu łodzi szturmowych, które często wśród gęstego gradu kul wysadzają pierwsze oddziały. Następnie oddziały te z bronią gotową do strzału idą przez ławice piasku (ilustracja na dole) na nieprzyjaciela. Choćby nieprzyjaciel nawet bardzo zacięcie się bronił, w końcu jednak zostanie on pokonany.





Największą bitwę okrążającą na świecie

stoczono w ostatnich tygodniach pod Kijowem. 665.000 żołnierzy bolszewickich wzięto do niewoli, znacznie więcej zniszczono. Zdobyto lub zniszczono 885 czołgów, 3.718 dział, zdobyto niezmierzone ilości wozów i wiele najrozmaitszego sprzętu wojennego. Dzięki tej bitwie otwarła się armii niemieckiej droga dla nowych rozstrzygających operacji w tych terenach.

Fot.: Ass. Press, Scherl, Atlantic, Sig. Sailer



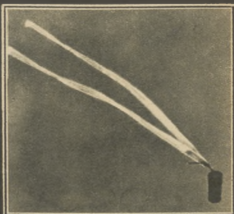


Zaglądnął do kart nieprzyjaciela



Wysoko w powietrzu zatacza koła niemiecki samolot wywiadowczy nad pozycjami przeciwnika. W krótkim czasie jest całe mnóstwo zdjęć zrobionych...

...które jeszcze w czasie lotu dobrze opakowane w skórzane futerały strąca lotnik nad własnymi pozycjami. W obozowych wytwórniach filmowych natychmiast wywołuje się filmy...



...i w niedługim czasie, wyniki obserwacji uzyskane fotograficznie mogą już być na mapach zaznaczone, tak że odpowiednio do tego może artyleria zająć już swe pozycje.





Już znajdują się dopiero co wyśledzone pozycje bolszewików w ogniu ciężkiej artylerii niemieckiej.

Fot. PK-Dietrich-Atlantic

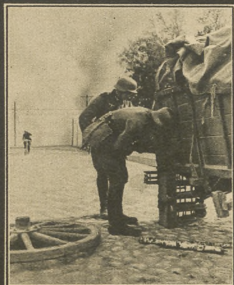
Pęknięcie koła wśród ognia nieprzyjaciół



Ciężarowe auto z amunicją przejeżdża przez miejscowość rosyjską. Za płonącymi domami czają się resztki oddziałów bolszewickich. Wtem odpada koło i jazda musi być przerwana...

...zanim zdołał się wóz przewrócić, jeden z żołnierzy zeskoczywszy szybko przytoczył koło zapasowe, które...

Fot.: PK-G. Schmidt-Atlantic



...pod obstrzałem nieprzyjaciół w ciągu kilku minut zostaje założone i jazda odbywa się w dalszym ciągu.















Zdjęcia u góry:
W krakowskim zwierzyńcu, znajdującym się w Lesie Wolskim, pełno w niedzielę miłośników zwierząt. Ptaki są tak oswojone, że jedzą z rąk.

Miś zawsze ma apetyt, zwłaszcza, gdy otrzymuje coś słodkiego.

Słońce nie skąpi swych promieni, oświetlając wejście do ogrodu i zachęcając do złożenia wizyty osamotnionym zwykle zwierzętom.

Niżej:
Po drodze trzeba koniecznie spojrzeć na piękną panoramę Krakowa z Kopca Kościuszki.

Na lewo i u dołu:
Spotkanie z boćkiem spacerującym samotnie po ogrodzie może być dobrą wróżbą.

Małpki są wszędzie takie same: gotowe przyjść z pomocą uciemiężonym towarzyszkom.

Fot. I. K. P.



Słońce w Lesie Wolskim

DZIKI PTAK Z ARA-TUA

1 ciąg dalszy

NAPISAŁA: ALEKSANDRA PROSZYŃSKA

Uciekła z obejścia i zawołała zza drzwi: — Muszę mieć perły, choćby miała być wojna, choćby ocean miał pochłonąć wszystko!

— O-le! — krzyk Łucznika zerwał się, jak głos nagle przestraszonego ptaka.

— O-le! — powtórzyło echo, tłukąc się wołaniem o smukłe pnie palm, trzepoczących w lęku liśćmi.

— O-le! — powtórzył cichutko wiatr, gładząc włosy Dzikiego Ptaka, która zrozpaczona, łkała na piasku.

— O-le!... — szumiała westchnieniem fala, podpływając do jej stóp.

O-le płakała nad sobą i nad sercem ojca, które było tak stare, że nie rozumiano jak bardzo boli miłość. Zmęczona, zasnęła na piasku i nie widziała, jak słońce zapadło za wzgórzami, a na niebie ukazał się księżyc o miedzianej twarzy i dokoła wyspy rozesłał na wodzie długie cienie palm nadbrzeżnych. Nie słyszała też O-le, jak ocean przyniósł jej śpiew, co płynął ku niej wołaniem:

— O-leee!

Dopiero, gdy poczuła na głowie swej czyjąś rękę, uniosła twarz mokrą od łez, płynących jeszcze we śnie. Westchnęła głęboko. Myślała, że to może cicha i ciepła noc przyniosła jej — Ra-tonga, ale był to tylko Mor-rung, czyli Orzeł Morski, pierwszy syn pierwszego wodza z Wyspy Ciepłych Wiatrów. Żagiel jego łodzi leżał w cieniach palm.

— Znowu płaczesz, O-le? Nie mogę patrzeć! Cóżbym dał za to, byś nie była nieszczęśliwą...

— Daj mi — szepnęła cichutko — złoto, co leży na falach...

Orzeł Morski popatrzył na blask księżyca na wodzie. Potrząsnął głową.

— To daj mi palmę, co kołysze się obok twej łodzi...

Orzeł Morski spojrzał na wydłużony cień palmy, gnący się w podpływaniu wody. Potrząsnął głową.

— No to daj mi perły, rozpryskujące się na rafach...

Objął spojrzeniem czub koralowej rafy, o którą fale rozbijały się tysiącami tęczowych kropel. Potrząsnął głową.

— Nie możesz mi nic dać z tego, czego pragnę, jakbym więc mogła być szczęśliwą! — rzekła ze smutkiem, gorzkim jak owoc migdału.

— Chcesz, O-le, tego, czego nie można zdobyć. Jakże ci mam przynieść złoto, co jest odbiciem księżyca, drzewo, co jest cieniem tylko, lub perły, co są kroplami zwykłej wody?

O-le odwróciła się na plecy, przymknęła powieki i wyciągnęła w górę złoto-brunatne ramiona. Od białego piasku odcinała się zwartym brązem, jak najpiękniejsza koncha, wyrzucona na brzeg. Szepnęła, jakby drwiąc, a jakby oczekując czegoś:

— A gdybym zapragnęła srebrnych piór, czybyś mi je dał?

Uniosła się na łokciu, spojrzała mu w oczy, wpatrzone w nią. Cofnął się przed jej wzrokiem. Dojrzała w nich znów lęk, podobny do tego, który widziała w oczach swego ojca.

— O-le! — zawołał podobnie jak tamten.

O-le jednak nie porwała się tym razem na nogi i nie uciekła w głąb lasu. Leżała na piasku nieporuszona, wiatr tylko łagodny przerzucał źdźbła jej lawa-lawa i muskał włosy, rozpostarte wokół głowy ciemnymi puklami.

— O-le! — rzekł Orzeł Morski, — wyspa należy do króla Ara-tua, gdybym ci więc przyniósł ptaka, złamałbym przymierze, zawarte między naszą, a waszą wyspą...

— Cóż by mi, Orle Morski, przyszło z piór, które musiałabym kryć przed oczami wszystkich?

— Więc co?

— Nic, nawet gdybym została twoją żoną, choć masz perły i wiele innych rzeczy, nie mógłbyś mi kupić piór, bo wyspa należy tylko do nas i tylko nasza królowa i żony naszych wodzów godne są tego stroju.

— O-le, — szepnął ponuro Orzeł Morski — czemu dotykasz rzeczy, którymi i kobiety na naszej wyspie podburzają krew swoich mężów?

— Czemuż więc — przerwała O-le, zbliżając twarz swą do jego twarzy — wasze kobiety nie mogą bioder swoich otulić piórami, co bardziej miękkie są od dotknięcia wiatru, ani przybrać piersi swych puchem, milszym niż najbardziej delikatny promień słońca?

— Bo, — Orzeł Morski pochylił się nad O-le, dotykał jej niemal napiętymi muskułami swej piersi, — bo wyspy nasze łączy przymierze braterstwa i przyjaźni, którego nie może złamać chytrość próżnych kobiet.

O-le podniosła się z piasku. Księżyc osrebrzył jej sylwetkę. Wzruszyła ramionami.

— Jakże więc mamy być szczęśliwe, jeśli przyjaźń jest więcej warta od miłości? Wybrałeś Orle, — O-le odchodzi!

Oddalała się wolno w stronę palm, nie patrząc ku niemu, który wstał, obrzucił spojrzeniem łódź swą i ocean wzywający do powrotu. Potem przyłgnął oczami do śladu drobnych stóp na piasku. To było jednak silniejsze. Rzucił się biegiem w stronę, gdzie śród zarośli znikała postać O-le.

— O-le! — zawołał. Tym razem jednak był to już głos nabrzmiały tęsknotą i miłością.

Za pierwszą palmą napotkał jej pachnące, ciepłe ramiona. Wyciągała je ku górze, zdejmując z pnia palmy złoto-brunatne, jak jej palce, zastygłe krople żywicy.

— Co robisz, O-le! — wykrzyknął.

Roześmiała się:

— Wiedziałam, że pójdziesz za mną.. Dojrzałam tu żywicę, będzie potrzebna do nasycenia łuków...

— Och, O-le, myśli twoje idą prędko naprzód — zdumiał się — a czy przewidziały także kiedy będziesz...

Przerwała mu:

— Jeśli zdobędziesz Wyspę Srebrnych Ptaków — pomówimy. Chodź — pociągnęła go na polanę — jest o czym radzić.

ROZDZIAŁ IV

O-le nigdy nie sądziła, że i starość ma swoje chwile, w których człowiek czuje się szczęśliwym, i że to szczęście może płynąć tylko z tego, że jest się przydatnym, — nie skazanym na bezczynność i łaskę cudzej dobroci i cierpliwości.

Łucznik odmłodniał teraz. Stał się bardziej krzepki. Pokurczone nogi jego nabrały siły, plecy wyprostowały się, wzrok nie był tępy i nawet skóra jego nie była już taka wiotka, — od kiedy Orzeł Morski odwiedził jego obejście, by zamówić u niego łuki dla wojowników swej wyspy. O-le odczuła tę zmianę na sobie. Ojciec, zajęty pracą, struganiem drzewa, moczeniem gałęzi, gięciem ich, przygotowywaniem żywicy, — nie miał czasu na zgryźliwość. W pracy wyładowywał zgorzkniałość, nabytą w samotności, nie cierpiała przeto jego kwasów. Zdawało się jej nawet, że od chwili, gdy poczuł się jeszcze coś wart, miał nawet więcej serca dla niej. Nie pytał o nic, o nikogo. A O-le bała się, że któregoś dnia zechce się dowiedzieć, na co wojownikom Wyspy Ciepłych Wiatrów tyle nowych łuków? Pewnego wieczora jednak, czy Orzeł Morski później wypłynął od nich niż zwykle, usłyszała:

— Czemuż to Orzeł Morski po nocy się kryje z bronią, jakby się obawiał ludzi z Ara-tua? Czyż nie wiąże nas przymierze przyjaźni i braterstwa?

O-le struchlała. Miska jej wypadła z rąk. Odwróciwszy się od ojca rzekła, kryjąc drżenie głosu:

— Nie wiem. Mówił, że tylu obcych kręci się między ich a naszą wyspą, że woli nocą przewozić broń, aby nie dostrzegli, iż wcześniej są przygotowani da walki, niż ci, którzy im podobno grożą.

O-le zanurzyła palce w skrzyneczce z błękitnymi muszlami, którymi płacił im za łuki Orzeł Morski. Kładzie je na dłoni, jaśniejszej nieco od całego ciała. Muszla mieni się przez błękit blaskiem srebrnym i różowym. Dziesięć takich muszel to jedna perła. Ojciec odzywa się nagle zza jej pleców:

— Niedługo, O-le, będziesz mogła kupić sobie srebrnych piór...

O-le zdawało się, że ją ktoś za kark przychwycił.

— Nie, — potrząsnęła głową — a w oczach coś ją zapiekło, bo oto zrozumiała, że ojciec, ten cierpki ojciec, w pracy swej nie zapomniał o niej i o Ra-tongu i o tym, jak bardzo chciał jej dać to, czego pragnęła.

Nie może mu teraz powiedzieć, że nikt z Ara-tua nie wie, po co przyjeżdża tu Orzeł Morski i co stąd zabiera. Nie może mu wyznać, jak skrzętnie ukrywa pracę ojca i jak jest zadowolona, że dom ich jest oddalony o długą i trudną drogę dokoła zatoki. W oczach mieszkańców z Ara-tua Orzeł uchodził za jednego z tych, którzy skłonni byli pojąć ją za żonę, choć nie miała nic poza swą lawa-lawa. I O-le musiała nadal podtrzymywać to mniemanie, by ukryć częste przyjazdy Orła, by ukryć dostawę łuków. Trzymając zaś to w tajemnicy, mogłaż pójść z garściami błękitnych muszel, wymienić je na perły i zapłacić daninę za prawo noszenia lawa-lawa z piór srebrnych ptaków? Tak więc O-le mogła tylko pieścić oczy blaskami: błękitnym, srebrnym i różowym, muskać palcami delikatnie rzeźbione konchy i w myślach tylko stroić biodra swe w puszyste pióra, co wiją się kolistymi zakrętami po lędźwiach, muskają je i głaszczą delikatnie od wiatru.

Czyż mogła powiedzieć ojcu, dlaczego nie chce jeszcze teraz stać się tak piękną, by urokiem swoim, podniesionym przez strój, przyciągnąć serce Ra-tonga? Musiałaby mu wyznać wszystko, co kryło się w jej przepaścistych oczach, a na wyznanie to nie nadeszła jeszcze pora. Tak więc O-le kryła się z tym i drżała za lada głośniejszym szelestem, trzaskiem gałęzi, sądząc, że to ktoś z mieszkańców Ara-tua, podpatruje pracę Łucznika.

Przyszedł wreszcie dzień, że Łucznik skończył już wszystko, co miał do zrobienia i Orzeł Morski przybył, by zabrać ostatnią partię łuków. Nim nadszedł zmrok, który okrywał odjazdy łodzi jego, załadowanej bronią, wypłynęli oboje poza rafy, o które rozbijały się oceaniczne westchnienia. O pół godziny drogi na zachód leżał za wiatrem koralowy pierścień, zamykający sobą cichą lagunę, usianą cienistymi wysepkami. Tam skierował Orzeł łódź swoją. Było to odosobnione miejsce, gdzie wielu szczęśliwych zakochanych spędzało długie godziny miłości, a słowa ich i zaklęcia, pieściwsze były od oddechu fal i ciepła promieni słońca.

Orzeł Morski przywiązał łódź do pnia palmy, schwycił O-le na ręce, lecz wymknęła mu się, skacząc do wody i płynęła do brzegu. Wachlowaniem tylko dłoni i stóp wprawiała w ruch swe ciało, gibkie i smukłe jak palma, pochylona nad laguną.

Opodal za drugą czy trzecią wysepką widniał jakiś inny żagiel, a gęste zarośla kryły takich samych jak oni, szukających samotności.

Orzeł dziś jednak miał coś ważnego do powiedzenia O-le, która uciekała od niego, unikając spojrzeń i słów wiążących. Przytrzymał ją wreszcie za ręce, odwrócił głowę ku sobie i patrząc w oczy, spoglądające ku tamtej, znajomej jakby łodzi, zapytał:

— O-le, powiedz, kiedy krewni moi, mogą prosić twego ojca, byś opuściła dom jego?

Zatrzepotały jej powieki, jak płochliwe skrzydła. Westchnęła, opuszczając oczy:

— Dałeś mi złoto, co leży na wodzie w księżycowych nocach, albo perły, albo srebro piór ptasich? Nie uczyniłeś mnie szczęśliwą. Jakże chcesz, bym szła smutna do domu twego?

Orzeł ścisnął jej ręce.

— O-le, dziś zabieram resztę ładunku, za dziesięć dni przypływam z poselstwem do króla Ara-tua z prośbą, która jest żądaniem podziału Wyspy Srebrnych Ptaków.

— Nie zdobyłeś jeszcze Wyspy Srebrnych Ptaków — wymknęła się od odpowiedzi, — nie uczyniłeś mnie szczęśliwą. Skoro nią będę, odpowiem ci, kiedy krewni twoi mogą odwiedzić dom ojca mego.

Uchyla się od jego rąk i oczu, śledząc spojrzeniem łódź, co oderwała się od pobliskiej wysepki i zatoczywszy łuk, okrążała ich z niedaleka. O-le wychyliła się zza palmy nad wodą, wiatr rozwiewał jej włosy i lawa-lawa. Czy śledziła żagiel, śledziła sylwetki skryte za nim. I kiedy łódź mijała ich, ddstrzegła twarz Ra-tonga, pochyloną nad miedzianą głową Westchnienia Wiatru. O-le schowała się za pień drzewa, jakby się wstydziła tego spotkania; a Orzeł Morski ze zdziwieniem przyjął chmurę na jej czole i złe błyski w oczach. Wyciągnął ręce do niej, odtrąciła je, mrucząc:

— Późno jest, trzeba wracać!

Patrzyła w ślad tamtej łodzi, która kierowała się nie w stronę wioski, ale szła prosto w kierunku cypla, zamieszkałego przez nią i jej ojca.

— Jedźmy! — porwała się O-le.

Zdawało się, że piasek pali jej stopy.

— On jedzie do Łucznika, — zobaczy łuki, wyda się wszystko przed czasem...

— O-le — tłumaczył łagodnie Orzeł — przecież zostaniesz moją żoną, nie będziesz musiała kryć się potem z niczym...

— Głupi jesteś, głupi! — zacisnęła pięści, skoczyła do łodzi, odwiązała ją od pnia palmy. — Ra-tongo nie może wiedzieć, nikt nie może wiedzieć — poprawiła się szybko, — płyńmy, płyńmy prędko!

Orzeł wypłynął z laguny, starając się wszystkimi siłami dogonić Ra-tonga. Uspakajał O-l-e, siedzącą z zaciśniętymi dłońmi i powtarzającą:

— Prędzej! Przędzej!

— O-le — mówił Orzeł, — Ra-tongo dopłynie do cypla, zmieni kierunek i skieruje się ku wiosce, zobaczysz...

— Nie, wiem, że pójdzie do ojca. Ra-tongo coś wietrzy od dawna.

Gryzł ją robak niepokoju i lęk o to co się stanie, gdy Ra-tongo dotrze do ich obejścia, i zobaczy stos powiązanych łuków, gotowych do zabrania. Ale serce jej było chytrzejsze od serca węża i choć drżało ze strachu, gdy dostrzegła, że Ra-tongo wyskoczył na brzeg i zniknął w zaroślach, — wyszła spokojnie na piasek i podążyła w ślad jego, zostawiając Orła opodal kręcącej się po zatoce All-o-mu.

Spotkała go na wąskiej ścieżce, jak wracał ze ściągniętymi brwiami i pewnością czegoś, co widać od dawna podejrzewał. Nie ustąpiła mu z drogi, lecz zapytała słodko ze smutkiem:

— Czemuż niepokoisz mego ojca? Czyż nie wiesz, że jest bardzo chory?

— Nie niepokoiłem go, widziałem tylko to, o czym dawno myślałem.

— Myślisz o łukach pewnie, — westchnęła O-le. — Biedny ojciec! Zły duch go nawiedził i pomieszał mu rozum na starość, — zdaje mu się, że żyje w czasach, kiedy był młody i kiedy sąsiednim wyspom potrzebne były jego łuki. Robi je całymi dniami. Nie wiem doprawdy co z nimi począć. Rada jestem, że jednak praca

czyni go spokojnym i wraca mu pamięć lat, które nie wrócą...

Patrzyła na niego łagodnie, a serce jej drżało, by nie zawrócił z nią razem do chaty. Czekała co powie.

— Wierzę ci, O-le.

— Wracaj, Ra-tongo! Westchnienie Wiatru niecierpliwi się.

Usunął się jej z drogi, nie patrząc już więcej na nią. A przez ulgę, która przychodziła z każdym niknącym odgłosem jego kroków, rosło w niej uczucie zawodu. Dałaby dużo, by wrócić wszystko, przekreślić to, co się stało i jeszcze stać musi, i nie mieć ani muszel błękitnych, ani pereł, ani planów tajemniczych, ani domu wodza Wyspy Ciepłych Wiatrów, ani piór srebrnych, a tylko serce Ra-tonga i jego łódź i ciche wieczory na lagunie — z nim.

Było już jednak za późno. I za daleko trochę. Wiedziała o tym. Musiała iść dalej. Tego wieczora, gdy Orzeł Morski zabrał ostatni transport, rzekła do ojca, który ze smutkiem składał niepotrzebne narzędzia:

— Musisz jeszcze zrobić tyle łuków, ile zabrał dziś Orzeł.

— Nie chciał już więcej przecież...

— Tak, ale będą pewnie potrzebne jeszcze...

I znów O-le nie mogła powiedzieć, że czyni tak, aby ubezpieczyć się na wypadek, gdyby przed czasem dowiedziano się, że Łucznik w tajemnicy przed Ara-tua wyrabiał broń. A tak, gdy spora ich ilość będzie leżała bezczynnie, — O-le będzie mogła zawsze powiedzieć: „Ach, biedny ojciec. Starość pomieszała mu rozum. Myśli, że żyje w czasach, kiedy łuki jego potrzebne były sąsiednim wyspom. Doprawdy nie wiem, co z nimi pocznę..." Będzie mogła także pokazać stos łuków, z którymi naprawdę niewiadomo, co począć.

Łucznik zabrał się na nowo do pracy.

ROZDZIAŁ V

Był jasny poranek, rześki od świeżych podmuchów oceanicznych, kiedy do Ara-tua przybyli gońcy i zapowiedzieli przyjazd specjalnej delegacji króla Wyspy Ciepłych Wiatrów.

Dwaj chłopcy na znak powierzonej im misji, pomalowani białą i czerwoną farbą, przeszli poważnie przez wioskę, dotarli do ogrodzeń domu królewskiego i zapowiedzieli, że dziś, o zachodzie słońca, przybędą do króla Ara-tua posłowie z pierwszym synem pierwszego wodza, Orłem Morskim, na czele.

Na wyspie rozpoczęto przygotowania. Nikt nie wiedział, czemu to przypisać oficjalne odwiedziny. Nie była to przecież pora wzajemnego składania sobie darów, ani odnawiania przymierza, ani nie stało się nic godnego uwagi, coby mogło być powodem chęci uroczystego omówienia spraw. Żaden z synów królewskich Wyspy Ciepłych Wiatrów nie zwrócił oczu, ani serca, ku córom władcy Ara-tua. Dziwiono się niepomiernie niespodzianemu wydarzeniu, cieszono się zarazem z okazji zabaw, towarzyszących takim przybyciom gości i gotowano się na ich przyjęcie.

Od zatoki prowadziła do wioski droga, którą wysypano zielenią i kwiatami. Pęki kwiatów pozatykano w gałęzie drzew, w ogrodzenia domów, i zasypano nimi plac, gdzie zasiąść miał król w otoczeniu swych żon, wodzów i swojej świty. Mężczyźni namaszczali swe ciało olejkiem migdałowym i czesali gładko kędzierzawe włosy, kobiety barwiły swe usta i piersi różowym barwikiem, nacierały skórę zapachami, we włosy wplatały kwiaty, wiły z nich wieńce i zarzucały na szyje. Żony królewskie i żony wodzów stroiły się w pióra: srebrne z wierzchu, a różowe od spodu. Na głowach upinały diademy, podwyższające je i dodające godności. Piersi kryły wachlarzami, zatkniętymi w pasie, a biodra osnuwały miękkimi, puszystymi, podobnymi do strusich, piórami lawa-lawa, które gładziły brunatną skórę dotykiem delikatniejszym niż powiew wiatru.

Starzy cieszyli się z nadchodzących chwil uroczystości, w których ich zniedołężniałym ciałom odda się znów pierwszeństwo, wysuwając ich na honorowe miejsca. Niektórzy smakowali napływającą ślinę na myśl o doskonałych napojach i potrawach, których smakowite zapachy dobiegały zewsząd. Każda z dziewcząt starała się o to, aby jej wygląd zwrócił oczy nie tylko ukochanych, ale i gości, z których niejeden może jej właśnie zapragnie. Młodzi myśleli o tańcach i o wieczorze, kiedy to usta dziewcząt, rozgrzanych zabawą i napojem, słodsze są, niż codzień, a księżyc bardziej ogromny, a cień pod palmami bezpieczniejszy, niż w każdą inną noc i wonie miękko wysłanych paproci bardziej upojne.

Nadchodził wieczór. Morze było spokojne, palmy stały sztywnie nad wodą i białość piasku ostro odcinała się od zieleni zarośli i mokrej barwy zatoki.

Wszyscy byli gotowi, niektórzy z mieszkańców stali na wybrzeżu, przykładali ręce do oczu i wypatrywali żagli z daleka. Wiele łodzi ruszyło naprzeciw, uwijało się po zatoce, wypływało poza barierę raf, by powitać poselstwo z Wyspy Ciepłych Wiatrów. Wreszcie ktoś zawołał:

— Są, są!

W oddali ukazał się mały punkcik. Rósł, stawał się wyraźniejszy. Wkrótce, gdy podpłynął bliżej, zauważono, że to nie jeden punkt, ale kilka, może i kilkanaście żagli, zbitych w blok, na wzór szyku wojennego. Łodzie z Ara-tua wyszły naprzeciw. Pozostali na brzegu zauważyli, że za barierą raf, rozpierzchły się na wszystkie strony, ale potem wracały, zbite w gromadę jak strwożone ptaki. Potem naradziły się widocznie, otoczyły konwojem gości i tak wpłynęły razem do zatoki.

Stojący na brzegu przecierali oczy. Na łodziach Wyspy Ciepłych Wiatrów nie było ani jednej kobiety; za misją nie płynęła żadna inna łódź, wioząca chłopców i dziewczęta. Gośćmi byli sami mężczyźni-wojownicy. Wieźli dary dla króla Ara-tua, ale zbrojni byli w łuki i kołczany. Wysiedli na brzeg, część z nich została przy łodziach, część zaś udała się drogą, przysypaną kwiatami, do środka wsi, gdzie zgromadzili się wszyscy mieszkańcy, i gdzie za chwilę zjawić się miał król w otoczeniu swej świty.

Goście zbili się w gromadę, od której surowego wyglądu odbijał dziwnie wygląd Ara-tuańczyków, pachnących olejkami i kwiatami. Zamiast wesołego gwaru zapanowało zamieszanie, — śmiech zatrzymał się w oczach i nie spływał na usta. Zamilkły piosenki i radość skamieniała w dłoniach i stopach dziewcząt, które zapomniały o tańcu powitalnym. Starzy, cieszący się pierwszym miejscem w kole, radzi byli się usunąć w cień zebranej gawiedzi.

Ale oto zbliżał się krol, za nim żony jego, żony wodzów i oni sami. Posrebrzało z daleka i porożowiało. Perły stroju władców lśniły bladym opalem; unosiły się miękko i opadały na lędźwiach pióra srebrne, falujące na biodrach.

Oczy wojowników spoczęły na orszaku królewskim, który zbliżał się majestatycznie, dostojnie. Zajął przygotowane mu miejsce. Kobiety kryły swe twarze za wachlarzami, porozumiewały się zza nich spojrzeniami, szeptały w ich osłonie rwanymi słowami i opuszczały je niżej, ukazując zza nich tylko obnażone ramiona i głowy. Nie było nic piękniejszego nad widok ten dla każdej kobiety z Ara-tua, zwłaszcza dla O-le, urzeczonej wyglądem zakrytego ciała. Nie zazdrościły żonom króla i wodzów ich pereł, korali, szpilek, ani domostw, ani służby, tylko stroju tego, który ukazywał nogi, ręce i szyję, resztę zaś postaci chował w miękkich osłonach, pobudzając ciekawość i podniecenie w oczach mężczyzn.

O-le stała w gromadzie dziewcząt, drżała z lęku i przeczucia chwili, w której i ona, córka biednego Łucznika, dorówna żonom wodzów i odzieje się w strój, który przyciągnie oczy — może te, z pewnością te, które się od niej odwróciły.

Ra-tongo wysunął się naprzód. Nie patrzył ani na Orła, ani na O-le. Wbił wzrok w ziemię, jakby oczekiwał czegoś, o czym wiedział.

Król zajął miejsce i dał znak. Zapadła cisza. Od szeregów gości oderwała się grupka niosąca dary, które złożyli u stóp władcy Ara-tua. Za nią zbliżył się Orzeł Morski, w otoczeniu czterech dobranych wzrostem wojowników. Oddał pokłon tradycyjny i rzekł głośno:

— Władca Wypy Ciepłych Wiatrów i jego wodzowie przysyłają ci pokłon, pozdrowienie i dary, których oby twoja wyspa nigdy nie przestała rodzić. Władca mój ceni sobie przymierze z królem Ara-tua, który jest sprawiedliwym rządcą, mądrym sprzymierzeńcem i rozsądnym wyznawcą pokoju. Władca mój ceni te zalety króla Ara-tua — i pragnąc mu jeszcze raz dać sposobność do wykazania ich wobec swego plemienia i sprzymierzonych z Wyspy Ciepłych Wiatrów — dla ugruntowania przymierza i utrwalenia pokoju, prosi o sprawiedliwość, którą okaże król Ara-tua, dzieląc posiadaną wyłącznie przez siebie Wyspę Srebrnych Ptaków między sprzymierzone plemiona.

W cichym kręgu zerwał się — jak nagły poryw burzy — okrzyk protestu. Dziewczęta cofnęły się przerażone. Mężczyźni wysunęli się naprzód. Żony wodzów i króla skryły twarze za wachlarzami. O-le wmieszała się w gromadkę i przez ramiona rówieśnic patrzyła to na twarz Ra-tonga, to Orła, to na oblicze władcy Ara-tua. Serce jej tłukło się gwałtownie, aż usunęła się za krzewy, lękając się, iż ktoś posłyszy jego łomot. Przyciskała rękę do piersi, mięła kwiat wyjęty zza ucha i czekała chwili, która miała rozstrzygnąć o jej losie.

Władca Ara-tua milczał. Tłum niecierpliwił się, ciskał gniewne spojrzenia, przytłoczony jednak zbrojnym wyglądem gości, kotłował się w sprzeczności swoich uczuć.

Orzeł Morski stał wyprostowany, dumny, pewny siebie. Za nim zwarty mur wojowników. Wokoło nich pstry tłum: zniewieściali mężczyźni, wonni od olejków, kobiety i zniedołężniali starcy. Orszak królewski, strojny w pyszne pióra, z których zazdrośnie korzystali przez tyle lat, broniąc dostępu do wyspy swoim sprzymierzeńcom.

Król podniósł dłoń. Skinął na wyrostków z Ara-tua i rzekł:

— Weźcie dary, które są obrazą dla władcy Ara-tua i odnieście na brzeg, za gośćmi z Wyspy Ciepłych Wiatrów. Władca Ara-tua nie przyjmuje ich.

Stało się! Zafalował tłum. Podniosły się głosy, wołania. Lecz król dał znak, by ucichło. Rozstąpił się krąg Aratuańczyków, wyrostki zebrały dary. Przybysze zaś, okazując oburzenie na nieprzyjęcie darów, — co znaczyło tyleż, co zerwanie przymierza, — potrząsając łukami, sposobili się do opuszczenia wioski.

Orzeł Morski cofnął się ku swoim.

— Niech stanie się jak chcecie! — rozkładając ręce zawołał. — Nie my jesteśmy tymi, którzy łamią przymierze!

Nie skończył, bo okrzyki gniewu i wrzawa zagłuszyła go. Gdy ucichło, podniósł się król Ara-tua i rzucił do niego:

— Słowa twe są słodkie jak owoc, a kryją truciznę węża i żarłoczność rekina! Idź i powiedz swojemu władcy, ze sprawiedliwości, o którą się zwraca do mnie, — stanie się zadość.

Na twarzy Orła odmalował się wyraz niezrozumienia i niepewności. Posłuchanie jednak było skończone. Wkrótce drogą od wioski ku zatoce, posuwał się zbrojny orszak, odprowadzany jedynie przez wyrostków, niosących nieprzyjęte dary. Wszyscy pozostali na placu zebrań. Kobiety zwolna z uczuciem zawodu i zapomnianego od lat niepokoju porozchodziły się, a tylko dojrzali mężczyźni skupili się, by rozpocząć narady, które zwołał od razu władca Ara-tua.

O-le przyczaiła się za palmą. Błyszczącymi oczyma śledziła twarz Ra-tonga. Zdawało się jej, że w jego rękach leży jej spokój. Słuchała narad z napięciem, sprzecznych głosów wodzów i poglądów starszyzny. Opanowywał ją lęk, gniew i strach. Wreszcie z wrzawy i przekrzykiwań, wydobył się na wierzch chłodny głos Ra-tonga. Mówił, że Ara-tua musi przygotować się na napaść nieprzyjaciela na wyspę Srebrnych Ptaków. Radził podwoić straże i zaopatrzyć je w broń.

Uzbroić je, lecz w co?

Władca Ara-tua przemówił więc, aby każdy z mężczyzn wrócił do domu i gdy wieczór zapadnie zjawił się ze swą bronią na placu przed domem królewskim, gdzie odbędą się narady wodzów i starszyzny. Dla niepoznania w wielu punktach wyspy rozpalono ognie, tak jakby nic nie zamąciło zamierzanych zabaw i pląsów.

— Niech tamci wiedzą, że Aratuańczyków nic zastraszyć nie może! — mówiono.

Nocą, gdy w granatowy mrok wzbiły się płomienie ognisk, zebrali się wszyscy mężczyźni z Ara-tua. Przynieśli ze sobą, co każdy miał. Okazało się ku zmieszaniu i zaskoczeniu wszystkich, że mają tylko połamane kołczany, łuki własnego, prymitywnego wyrobu, z których polowano na ptaki, dzidy drewniane i oszczepy, służące do połowu ryb. Jakieś pałki bezużyteczne, narzędzia zmurszałe. Smutek padł na oblicza mężów, ponure w czerwonych płomieniach.

Przypomnieli sobie podszepty swych żon i córek, które z kobiecą przezornością radziły nie wadzić się ze sprzymierzeńcem i odstąpić wyspę. Przecież z niej i tak tylko król i wodzowie korzystali. Warto się było o to bić?

O-le, przyczajona za drzewem stropiła się niepomiernie. Słuchała z napięciem obrad i widziała jak w słowach mężów odbija się ich własna tchórzliwość, zniewieściałość, a także i sprytnie podszepnięta zazdrość ich żon. Łudziły się zapewne, że przy pokojowym podziale wyspy, korzystanie z niej nie będzie już tylko przywilejem królewskim. O-le uderzyła pięścią w podkurczone kolana. Poszukała wzrokiem Ra-t-onga, który stał na uboczu z wyrazem wzgardy, lęku i smutku. Czekał aż starsi zużyją zapas dowodzeń, aż okaże się potem, że nikt nie ma już nic więcej do powiedzenia i że oglądać się zaczną jeden na drugiego, co począć.

I tak się stało. O-le ścierpły już kolana, uniosła się więc i przywarła do kory drzewa. Wyglądało to w mroku, jakby palma, odrastając od korzenia, trzymała się ziemi pniem grubszym, niż inne. W zniecierpliwieniu patrzyła na Aratuańczyków i ich niezdecydowane twarze i mimo woli przypomniała sobie postawę wojowników z Wyspy Ciepłych Wiatrów. Tamci byli mocni, sprawni w chodzie i władaniu bronią, ci rozleniwieni, ociężali, niepewni i oglądający się jeden na drugiego. O-le syknęła. Przemknęło jej nagle przez głowę, że na nic jej wszystkie trudy, wykręty i troski, które ciągnęły się za nią, odkąd postanowiła sobie dojść do swego celu.

Dalszy ciąg nastąpi

Królowa Pacyfiku

Na dnie cichej laguny, wśród krzaków korali
długie lata łzami perłopław się żalił,
długie lata czekała na śmiałka w głębinie.
Zamknięta w ciasnej muszli srebrzysto-różowa
śniła sen o władzy wśród bogatych ludzi,
strzegły jej zazdrośnie rafy koralowe,
a żarłoczne rekiny straż trzymały w wodzie.
Dnia pewnego w słoneczne, upalne południe,
gdy palmy nad laguną aż od żaru mdlały,
kilka mil od wyspy zadumanej, cudnej
jakiegoś niedużego statku żagle zabielały.
Codziennie z łodzi w cichą toń laguny
nurkował kanak o potężnych płucach
z woreczkiem u szyi i w nóż uzbrojony,
a po długiej chwili z muszlami powracał.
Jak dotąd połów zupełnie zawodził.
Jeden kanak już życiem zapłacił odwagę,
inny w paszczy rekina tuż przy łodzi
samej walcząc, stracił nogę.
Klął kapitan szkunera, bystrym, wściekłym wzrokiem
przeszukiwał głębie od ryb barwne, rojne
i napędzał nurków o piersiach głębokich,
do nowych niebezpieczeństw i wysiłków znojnych.
Połów trwał jeszcze.
Kiedyś wcześnie rano, Tiin, kanak zuchwały,
najlepszy nurek z załogi szkunera
wypłynął na powierzchnię strachem oszalały,
lecz z muszlami w woreczku. Otwierał
je pospiesznie biały, do krwi ranił
palce, jedną i drugą puste rozdarł z trzaskiem,
otworzył trzecią — i oczy przysłonił —
wewnątrz wielka perła lśniła świetnym blaskiem.
Aż złagodniała zła twarz kapitana
tak była piękna i w szczerym zachwycie
Królową Pacyfiku została nazwana,
a kosztowała wtedy tylko jedno życie.
Rosła jej sława na wyspach, na morzu,
ze sławą w parze szła chęć posiadania
przecudnej perły. Pierwszy posiadacz nożem
padł przebity w najbliższym porcie po wylądowaniu.
Na wyspie Waihiti znowu ręce chciwe
czyjaś krew splamiła tryskająca z rany.
Czasem wieści o perle krążyły fałszywe.
Trzeci raz w Bangkoku była zrabowana.
Potem we Frisko, New-Yorku, Londynie
nieciła zbrodnie, włamania, kradzieże,
Królowa Pacyfiku, gdzieś w cichej lagunie
wyrosła, nad którą palmy szeptały pacierze.

M. Kralkowski

Bieg maratoński ku wojnie!



Przede wszystkim odrzucamy możność poparcia jakiejkolwiek wojny przez zezwolenie prowadzącemu ją na dostawy broni, amunicji i materiału wojennego z Ameryki". „Pod wszelkimi warunkami będę trzymał Amerykę z dala od wojny europejskiej, nasi synowie nie będą znów ociekać krwią na polach bitew Europy".

Oba te zdania wypowiedział nie kto inny, tylko obecny prezydent USA. Pierwsze z tych zdań proklamował on 3 stycznia 1936 roku. Drugie powtarzał we wszystkich swych mowach wyborczych, gdy uważał za słuszne po raz trzeci pozwolić się wybrać prezydentem USA. Doprawdy, trudno za prawdę uważać, że dziś Roosevelt ma zupełnie inne poglądy na sprawę przystąpienia Ameryki do wojny i że właśnie Franklin D. Roosevelt jest tym samym, który w roku 1935 jako prezydent położył swój podpis pod prawem neutralności mającym na celu zapobiegnięcie wmieszaniu się Ameryki do wojny europejskiej. Zapewne w międzyczasie zmienił Roosevelt swe zapatrywanie, o ile jego poprzednie podpisy były zawsze uczciwe. Obecny prezydent USA nie tylko odegrał kierującą rolę w rozpętaniu wojny europejskiej, uczynił on również wszystko możliwe, by wojnę tę rozszerzyć i przedłużyć. Prawo o neutralności podpisane przez Roosevelta jest z całą obojętnością, kawałek po kawałku, systematycznie łamane. W pierwszym rzędzie zniesiono zakaz dostarczania broni prowadzącym wojnę, chociaż na razie pewne ograniczenia odnośnie do niego jeszcze pozostawiono. Tak na przykład przepis, że Ameryce należy płacić w gotówce za dostawy, w celu uniknięcia długów, jak to miało miejsce po Wielkiej Wojnie (Klauzula Cash'a).



CORDELL HULL
Sekretarz Roosevelta w ministerstwie spraw zagranicznych chwyta się za głowę i zastanawia w jaki sposób można by sprowadzić wojnę do Ameryki.

Dalej, odbiorca na własne ryzyko podejmował się transportu (Klauzula Carry'ego), by uniknąć konfliktów, jakie by mogły przy tym powstać. Po trzecie zakazano obywatelom amerykańskim i okrętom przekraczania strefy terenów wojennych Europy.

Chciano uniknąć zatargów o nieprzewidzianych następstwach, jak to miało miejsce w czasie Wielkiej Wojny. Niestety także w tych zastrzeżeniach Roosevelt poczynił wyłomy i niejedno z nich pozbawił znaczenia. Prawo pomocy dla Anglii dało mu prawie dyktatorskie pełnomocnictwa i zwaliło na barki obywateli płacących podatki, finansowanie dostaw wojennych dla Anglii, która się przy zakupie materiałów wojennych już od dawna krwawiła i swych najcenniejszych posiadłości za byle jaką cenę pozbyła.

Ale jeszcze wciąż nie chciała wojna przyjść do Ameryki. Ciągle jeszcze nie było

FRANK KNOX
Sekretarz stanu w ministerstwie marynarki przyznaje bezwzględną rację rozkazowi wydanemu przez Roosevelta.





THEODOR KAUFMANN
Jeden z doradców duchowych Roosevelta, żyd; żąda on jako prezydent amerykańskiej Ligi Pokoju przystąpienia Ameryki do wojny. Już niejednokrotnie był on tubą Roosevelta.

Fot. Ass. Press (6)
Weltbild (2)



PANI ROOSEVELT — OCHOTNICZKA NR. 1
La Guardia, żydowski nadburmistrz Nowego Jorku mianował panią Roosevelt wicedyrektorem obrony cywilnej i nazwał ją ochotniczką Nr. 1.

W kole:

LA GUARDIA
La Guardia, żydowski nadburmistrz Nowego Jorku przymierza hełm stalowy obrony przeciwlotniczej, otrzymany w darze od swego kolegi z Londynu.



Na lewo:

TANIEC ZWYCIĘSTWA
Tak nazywają w USA nowy, bardzo propagowany taniec. A przy tym nie chce naród amerykański ani słyszeć o przystąpieniu Ameryki do wojny.



PREZYDENT ROOSEVELT
Człowiek, który wbrew woli swego narodu dąży do wojny, bo tak tego żąda światowa plutokracja żydowska.

Na lewo:

AFISZE PEŁNE GROZY
Przy pomocy tego rodzaju afiszów starają się w Ameryce wywołać odpowiedni nastrój przeciw Europie i skłonić naród do przystąpienia do wojny. Cel uświęca środki.

W kole:

WENDELL WILLKIE
W przód kontrkandydat Roosevelta, obecnie zaufany i nieznający hamulców podżegacz do wojny, który całkiem zapomniał, że przodkowie jego zostali wypędzeni z Niemiec przez żydów.



Warszawska kawiarnia

Warszawa kocha kawiarnie.

Gdzież indziej mogłyby nasze panie dowiedzieć się kto z kim i ile razy, gdzież indziej objawiłyby urbi et orbi swoje nowe kreacje, za które ciężko zarobiony grosz musi bulić mężulek (czasem, dla pociechy, i wspólnicy, ale to rzadko, ci bowiem mają inny przydział), gdzież wreszcie zaspokoić swoje potrzeby kulturalne (ach! jak ta Brzezińska mnie nastraja, a ten Fogg łapie za duszę)!

Więc nic dziwnego, że w kawiarniach stale pełno, choć ich jest mnóstwo po różnych mniej lub więcej odpowiednich lokalach rozsianych.

I jeszcze jedno.

Każda nowootwarta kawiarnia ma „murowane" powodzenie! Po pewnym czasie dyrekcja spoczywa na laurach „bo i tak tłok" no i niebawem lokal przestaje być modny i zieje pustymi fotelami i kieszeniami właścicieli.

Spróbujmy raz zrobić małą „wędrówkę ludów" po najmodniejszych „cafe".

W myśl zasady „nomina sund odiosa" poprzestaniemy na pewnych aluzjach, z których każdy warszawianin, a już napewno warszawianka, rozpozna teren akcji.

Uwaga! — Zaczynamy!

Niedziela popołudnie. Rozpychając się i depcząc po nogach dostajemy dzięki protekcji stolik.

Po chwili ze zmiennym uczuciem rozkoszy i przerażenia stwierdzam, że zamiast poręczy dzierżę parasolkę sąsiadki, której biust, częściowo na moim stoliku spoczywając, słodko faluje.

Sytuację gmatwa fakt, że podają „panie z towarzystwa". Coprawda nie napisane z jakiego, ale dość spojrzeć, aby łatwo odcyfrować. Otóż te przemiłe panie krążą z rozbrajającym wdziękiem i swobodą między stolikami, których wzajemna odległość od siebie wynosi zero i zwykle zamiast np. zamówionej kawy przynoszą pierożki z serem. Do tego oczywiście ciastka!

A spróbuj reklamować!

Zatrzepocze rzęsami, całymi pokładami tuszu obarczonymi, względnie usteczka a la Daniele Darieux i jesteś, — o nieokrzesana głowo! — skopany i zbity moralnie!

Zwrócić uwagę „pani do towarzystwa"?

A czy wiesz chamie, czy to nie księżna lub hrabina przypadkiem, która dawniej żyła ze swych licznych dóbr, a teraz tylko z jednej — jedynej posady kelnerki.

Zamiast wstać i ucałować te rączki spracowane manicurem, to jeszcze, cholera, grymasisz?

Więc wbijasz te pierogi, a tymczasem masz bezpłatny masaż pleców — nowe protekcyjne stoliki wstawia się między nogi już szczęśliwie siedzącym — powietrze coraz gęstsze, niektóre osoby próbują wstać i zdążyć ku dyskretnie niedomkniętym drzwiom przy których groźna paniusia rozdziela sprawiedliwie miejsca za jedyne 20 groszy. Czas postoju ściśle ograniczony. Szczęśliwcy wypadają stamtąd z niebem na licach; właśnie obok mnie wstał młodzieniec, rozpacz w oczach skierowana ku dalekiej oazie - cóż miał pecha - właśnie na estradę weszła modna gwiazda kawiarniana.

Rozległy się syki pod adresem stojącego, i „vox populi" usadziło bladego młodzieńca, na czym nie tylko on źle wyszedł.

Otyła akompaniatorka z miną zaspanego sfinksa, gruchnęła w klawisze, siedzące obok dziewice przestały cmokać przy stertach niknących ciastek, nad salą pełną dymu i bliżej nieokreślonej woni zawisło pełne napięcia oczekiwanie.

Po chwili ku swemu przerażeniu usłyszałem szept sąsiadki z bocznego stolika:

„A moje serce jest jak jazzband — kto mi postawi wina, kto zapłaci, ten zdobędzie mnie..."

Ścierpłem.

Raz, że namiętna Messalina spociła się i różowane policzki były już na brodzie, dwa, że ta ponętna osoba brała chyba udział w wyprawach napoleońskich — a conajmniej w wojnie japońskiej, trzy, że stawiane wino było niczym z perspektywą obietnicy zdobywania.

Na szczęście okazało się, że to przysięgła wielbicielka naszej diseusy podpowiada jej z amatorstwa tekst piosenki, co nie jest zresztą trudne, jeśli stanowi ona conajmniej roczny skład „żelaznego repertuaru".

Zamknąłem oczy i czekałem, jak zbawienia końca występów.

Nie dlatego, broń Boże, abym miał mieć coś przeciw uroczej pieśniarce, ale dlatego poprostu, abym mógł choć trochę poruszyć lewą nogą, na której na czas występu przystanęła pani z „high life'u" z tacą w ręku.

Zresztą nie było już czym oddychać, a raczej tym, czym było, lepiej nie było.

A tu jak na złość, bisom nie było końca.

Sala znała wszystkie piosenki na pamięć i często gęsto z wdzękiem wtórowała.

Z radością spostrzegłem, że jednak przyszła po pieśniarkę najbliższa rodzina, co stanowi nieomylny znak, że „program się ku końcowi ma".

Po hojnych naddatkach pieśniarka przedarła się ku wyjściu, a tłum ruszył ku szatni.

Przejście przez Morze Czerwone było prawdopodobnie dziecinną igraszką i wzorem porządku wobec tego, co się tu działo.

Ja osobiście wróciłem tylko bez guzika, więc narzekać nie mam prawa, ale panna Stanisława mówiła, że w tłoku zginęło jej coś, co miało dla niej największą wartość — już chciała grzmieć na rozpasłą nieobyczajność, gdy okazało się, że to chodziło o psa.

Zresztą się znalazł.

Przezornie wyszedł wcześniej i czekał przed cukiernią na rogu Marszałkowskiej.

I jak tu nie kochać zwierząt!!!

Czesław Padłowski

POST-SCRIPTUM

HUMORESKA

Posłaniec przyniósł mi następujący list:

Szanowny Panie!

Po dłuższym namyśle postanowiłam wrzucić ten list do najbliższej skrzynki pocztowej. Czynię to, aby w samą porę powstrzymać pana od dalszych zbytecznych wydatków. Przede wszystkim proszę pana, aby zaniechał pan kupienia dwóch biletów do loży na przedstawienie w cyrku, ponieważ jutro o umówionej godzinie nie zjawię się w umówionym miejscu. Nie przyjdę również następnego popołudnia do muzeum przyrodniczego, gdzie chciał mi pan pokazać zrekonstruowany szkielet przedpotopowego wieloryba i również podczas następnych dni nie będę ani razu, tam, gdzie pan, lecz będę unikała wszelkich miejsc, w których mogłabym się z panem, choć przypadkowo spotkać, bowiem po gruntownym zbadaniu mojej duszy doszłam do wniosku, że nawet w przybliżeniu nie czuję do pana tego, co czułam dotychczas, i że dlatego najlepiej będzie, gdy się już więcej nie zobaczymy. W jaki sposób doszłam tak nagle do tego wniosku, nie wiem sama i proszę niech pan nie pyta. Może mnie pan nazwać kobietą zmienną, niewierną i może być, iż zmianę tę spowodowały jedwabne skarpetki Boba, zręczność taneczna Tedda, lub czarbowny motocykl Tola — ale cóż począć, jestem tylko kobietą.

W każdym razie często przypominać sobie będę wszystkie słodkie godziny, które razem przeżywaliśmy.

wdzięczna Lili.

P. S. Lok moich włosów, który pan posiada, może pan łaskawie jako bezwartościowy, wyrzucić na wiatr, proszę również o zniszczenie wszystkich moich listów.

P. S. Jedwabny Chaplin, dwie białe myszki i obie płyty gramofonowe, które mi pan kiedyś podarował, wrócą znów do pana. Piękny kaktus, który mi pan podarował, niestety, zniszczył się, a jedwabne pończochy pożyczyłam Betty, i oddała mi je zupełnie podarte.

P. S. Również jedna płyta gramofonowa „Nad pięknym, modrym Dunajem" trochę się zepsuła. Służąca postawiła na niej gorące żelazko.

P. S. Winszuję panu Kitty.

P. S. Niech pan nie sądzi, że jestem o Kitty zazdrosna. Dzięki Bogu, minęły już te czasy, gdy byłam głupią histeryczką, ale niech pan nie sądzi, iż nie zauważyłam, z jakim zachwytem patrzył pan wczoraj na Kitty i jak pożądliwie chwytała ona pańskie spojrzenia; i jak uszy pana czerwieniły się, a nozdrza Kitty coraz mocniej drżały; i jak oboje tłumiliście westchnienia i jak między wami zawiązywały się tajemne nici sympatii! Ale po co te tajemnice! Dzięki Bogu, dziś to wszystko wcale mnie już nie wzrusza i gdy myślę o pańskim wczorajszym postępowaniu — śmieję się.

P. S. Zresztą zupełnie dobrze pojmuję pański zachwyt dla Kitty. Muszę przyznać, że Kitty jest wzorem piękności kobiecej, i jej cudne, złociste włosy, małe ostre ząbki i zalotny nosek są wprost oszałamiające.

P. S. Chcę tylko zaznaczyć, że jej złociste włosy — zdradziła mi to fryzjerka — są sztucznie rozjaśnione, i jej prawy, górny ząbek jest sztuczny, a gdy Kitty sądzi, że jest sama, dłubie sobie w nosie.

P. S. Mimo to rozumiem doskonale pański zachwyt nad jej osobą, bo gdybym ja była mężczyzną, od razu zakochałabym się w Kitty na zabój.

P. S. Bobby co prawda sądzi, że nie jest ona zbyt mądra, a Teddy uważa, że ma ona skłonności do tycia. Ale Bobby i Teddy są żartownisiami. Zwymyślałam ich za to. Kitty jest czarującą kobietą, a przy dzisiejszym stanie nauki można z łatwością zwalczyć skłonność do otyłości. Harry powiedział, że Kitty jest gęsią, ale z jego zdaniem nie można się liczyć.

P. S. A propos gęsi. W cyrku „Pięć światów" podobno pokazują trupę tresowanych gęsi. Musi to być bardzo interesujące. Podobno gęsi dają się bardzo trudno tresować, bo nic nie rozumieją i łatwo zapominają. Te gęsi podobno są wyjątkiem. „Primadonna" tej trupy podobno znosi nawet jajko na komendę. Przypuszczam, że w niedzielę, gdy są dwa przedstawienia, musi to być męczarnią dla tych biednych ptaków. Ale można przecież podczas sceny składania jajka zamknąć oczy. Proszę pana bardzo, aby panu nie wpadło czasem na myśl kupić dwa bilety do loży na jutrzejsze przedstawienie w cyrku.

P. S. Naturalnie, że może pan na jutrzejsze przedstawienie cyrkowe kupić dwa bilety, do loży, może pan w ogóle robić i kupować, co się panu podoba, to mnie przecież wcale nie obchodzi, bo i tak na drugie miejsce do loży zaprosi pan prawdopodobnie Kitty. O ile pan rzeczywiście zaprosi Kitty do cyrku, może pan również od razu umówić się z nią na następne popołudnie w muzeum przyrodniczym, aby pokazać jej zrekonstruowany szkielet przedpotopowego wieloryba.

P. S. Łajdaku!

P. S. Nie wrzucę tego listu do najbliższej skrzynki pocztowej. Dam go temu posłańcowi, który do pana przychodzi, bowiem nie mam cierpliwości czekać, aż dojdzie on do pana drogą pocztową. Chcę, aby więzy, które nas łączą, zostały natychmiast zerwane; a to stanie się z chwilą, kiedy pan ten list otrzyma.

P. S. Niech pan nie próbuje zmienić mego postanowienia, byłoby to zresztą całkiem bezcelowe.

P. S. Proszę, niech pan nie próbuje również do mnie pisać. List pański nie otworzony wróci do pana.

P. S. Łajdaku!

P. S. Łajdactwo!

P. S. Ty łajdaku!

P. S. Ty słodki, kochany łajdaku!

P. S. Dziś przez cały wieczór będę w domu.

Kazimierz Laudan

Próby ożywiania noworodków

W Bourges, we Francji, urodziło się dziecko, które jednak przyszło na świat prawie martwe. Próby położnej utrzymania dziecka przy życiu były daremne. Ponieważ rodzicom zależało bardzo na dziecku, prosili lekarza, by uczynił wszystko co mu dostępne, byle utrzymał dziecko przy życiu. Lekarz sprowadzony do dziecka zastosował sztuczne oddychanie. Przeszło godzinę nie było rezultatu, potem jednak dziecko zaczęło oddychać. Noworodek był jednak tak słabo rozwinięty, że po kilku godzinach zmarł.

Fakt ten wart jest wzmianki dlatego, że jest on dowodem, iż próby ożywiania noworodków dających słabe oznaki życia, mogą przy normalnej budowie dziecka dać pożądane rezultaty. Może to być pociechą dla wielu rodziców.

Dalszy ciąg ze strony 8-mej

zajść, które by mogły posłużyć Ameryce za pretekst do wypowiedzenia wojny. I zawsze jeszcze kongres stanowi dla Roosevelta główną przeszkodę w przystąpieniu do wojny, kongres, który jedynie jest uprawniony do rozstrzygania w sprawach wojny czy pokoju.

Wtedy to dał Roosevelt kapitanom swych okrętów, jadącym do Europy rozkaz strzelania do wojennych okrętów niemieckich. I zdarzyło się, że kapitan okrętu amerykańskiego „Greer" pierwszy zapalił lont, gdy spotkał podwodną łódź niemiecką, która zaczepiona naturalnie musiała się bronić. Ale podczas gdy przez to, a przede wszystkim przez przekręcanie rzeczywistych faktów chciano stworzyć incydent, o który w Białym Domu prawie na klęczkach się modlono, zachowały Niemcy zupełny spokój zarówno potem jak i przedtem, spokój, którym nie wstrząsnął nawet rozkaz Roosevelta strzelania do okrętów niemieckich. I żaden komendant niemieckiej łodzi podwodnej nie wyświadczy prezydentowi USA tej przysługi, aby oddać strzał pierwszy. Ponieważ Niemcy nie mają zamiaru rzucić kamienia, który spowodowałby zderzenie, posuwa się Roosevelt w swym biegu maratońskim do wojny na wyższe tory. Ostatnio zadecydował też minister marynarki amerykańskiej Knox bez zasięgnięcia zdania kongresu, że konwoje przeznaczone dla Islandii będą odtąd chronione przez amerykańskie okręty wojenne. Niegdyś by uniknąć incydentów, mogących spowodować wybuch wojny, postanowiono odmówić konwojów. Teraz jednak, aby zbliżyć się o krok do wojny europejskiej, nie dba prezydent Roosevelt ani o prawdziwy nastrój narodu amerykańskiego ani też o prawodawstwo Stanów Zjednoczonych. Gdyż Roosevelt potrzebuje incydentów, potrzebuje okrętów storpedowanych i ostrzeliwanych przez Niemców, potrzebuje okrętów z obywatelami amerykańskimi, zatopionymi przez Niemców, aby przełamać obojętność i brak zainteresowania narodu amerykańskiego. Charakterystycznym dla nastrojów amerykańskich jest wycinek z listu jakiejś Amerykanki z Milwaukee z dnia 15 sierpnia: „I zamiast, żeby nasz prezydent użył całej swojej władzy jako pośrednik pokoju, spotkał się on ostatnio na pełnym morzu z panem Churchillem, aby rozciągnąć tę wojnę jeszcze na kilka lat. Słowo „haniebnie" jest zbyt łagodnym dla tych tajnych układów. Nie wierz tylko, że cały naród amerykański jest tak nastrojony jak nasz prezydent. 80% ludności jest przeciw wmieszaniu się do wojny, jednak władza żydów, którzy wszelkimi środkami popierają propagandę za wojną, jest ogromna. I do takich celów ma się poświęcać swoich synów, pod pretekstem, że konieczna jest obrona kraju".

W polityce Roosevelta tkwi pewien system. Najpierw przy pomocy prowokacyj ma się uczynić naród amerykański chętnym do wojny, a potem, mają incydenty sztucznie stworzone zmusić kongres do uznania samowładnych poczynań Roosevelta, do dania mu dalszych pełnomocnictw i do ostatecznego wypowiedzenia wojny. Roosevelt chce więc zarówno naród amerykański jak i kogres przechytrzyć, chce oba zaskoczyć, jako że zdrowy rozsądek trzeźwo myślącego Amerykanina nie może dojrzeć konieczności przystąpienia Ameryki do wojny. Jest rzeczą jasną, że raz po razu odzywają się głosy przeciw mętnej, zakulisowej i samowładczej polityce dyktatorskiej Roosevelta. Ale wszystkie podawane do wiadomości publicznej oświadczenia rządu, nie tylko nie przyczyniają się do wyjaśnienia prawdziwej sytuacji, lecz przeciwnie, zaciemniają obraz, ukrywają więcej niż wyjaśniają, już choćby dlatego, żeby osłabić opozycję, by szerokie masy niezadowolonej z polityki Roosevelta ludności trzymać w nieświadomości, aby wreszcie naród amerykański ogłupić.

Zapytajmy na końcu jeszcze: po co to wszystko? Jakie zamiary ma prezydent Roosevelt, chcąc przystąpić do wojny? Komu ma się przez to pomóc? Powiedzmy to sobie otwarcie: są to wyłącznie interesy kapitalistyczne, dyktowane przez stojący za Rooseveltem wysoki kapitalizm żydowski Ameryki! Jest to jedynie interes! Niczem nie hamowana amerykańska polityka finansowa! Nie chęć obronienia Anglii przed upadkiem, nie myśl, przeszkodzenia w zaprowadzeniu w Europie nowego porządku pcha Roosevelta i idących z nim mężów do tej polityki, lecz wysoka finansiera pozostająca prawie wyłącznie w rękach żydowskich. Może wierzy się w Anglii ciągle jeszcze w dobre zamiary Roosevelta — jakkolwiek ten prezydent USA w międzyczasie zagarnął już jako zapłatę za stare żelazo — stare okręty wojenne, dostarczone Anglii, nie przedstawiają przecież niczego innego — istotną część imperium brytyjskiego. A teraz leci Roosevelt z siłą wiatru 11 ku wojnie europejskiej, w tej nadziei, że odziedziczy rozpadającą się potęgę światową Anglii. Żydostwo światowe zaciera sobie natomiast ręce, gdyż znalazło w Roosevelcie człowieka, którego może zaprząc do rydwanu swych własnych planów podboju świata. Roosevelta nie interesuje bynajmniej los narodów europejskich, są to tylko preteksty, pod którymi prezydent USA, jego pomocnicy i stojące za nimi żydostwo światowe z workami pełnymi pieniędzy ukryli zręcznie swoje prawdziwe cele i plany.

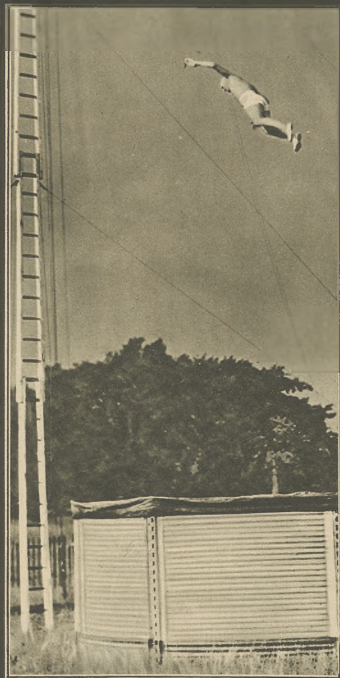
SALTO DO BASENU



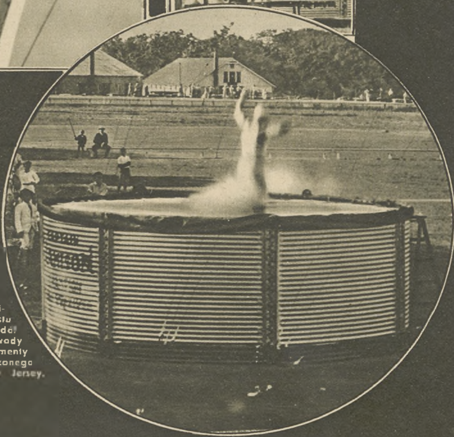
Nie nadaremnie nazywa się skok z dość znacznej wysokości połączony w dodatku z pewnymi koniecznymi wyczynami w powietrzu „salto mortale" — skok śmiertelny. Rzucenie się w próżnię, by spaść do wody lub na rozpiętą pod spodem sieć jest w pewnym sensie skokiem samobójczym, nikt nie może bowiem przewidzieć, czy obliczony w najdrobniejszych ruchach skok rzeczywiście się uda. Jest to przecież skok w przepaść. A jednak są śmiałkowie, których







Fot. Ass. Press

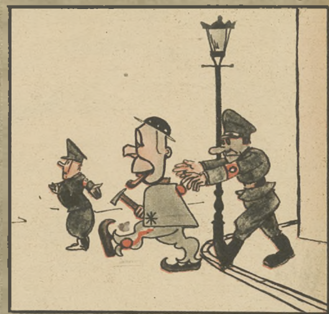


Te niebezpieczne igraszki ze śmiercią jeszcze zawsze pociągają. Zdaje się nawet, że urągają oni swym zuchwalstwem wszelkim pojęciom o strachu i niebezpieczeństwie. Tak na przykład jest i na naszych zdjęciach. Obliczono, że śmiałek rzucający się rzec można na „ślepo" w dół, skoczył z wysokości 30 metrów. Dziwniejsze i trochę niesamowite przy tym jest to, że wskakuje on do basenu z wodą, głęboką tylko na dwa metry. Jeżeli obliczymy, że siłą swego spadku powinien on upaść o wiele głębiej, ścina się nam po prostu krew w żyłach. A jednak sztukmistrz ten bez zmrużenia powiek rzuca się z góry na dół i siłą swej woli przybiera pod wodą pozycję, która pozwala mu za chwilę wyjrzeć spod wody z twarzą uśmiechniętą i triumfem. Zdjęcia nasze przedstawiają nam poszczególne fragmenty tego zuchwałego wyczynu. Ano, „audaces fortuna iuvat". U góry zaś widzimy przerażonego widza, który odczuwa lęk zamiast tego sportowca. Jest nim Oliver Bruntom z New Jersey.



NASZ RYSOWNIK PAWŁOWICZ NA TROPACH MOTKA I KNOTKA. WSZYSTKO, CO MU SIĘ W TEJ WĘDRÓWCE NASUNĘŁO NA OCZY, UWIECZNIŁ W RYSUNKACH I SŁOWACH.

Trzy osoby przejść nie mogą,
Chodnik jest za wąski przecie.
Toteż Knotek idąc drogą,
Jedną z nich na jezdnię zmiecie.

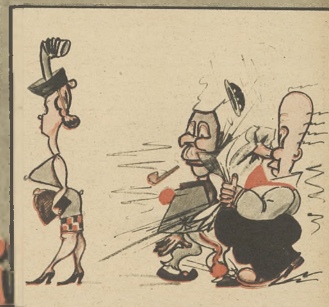


Motek znaków nie przestrzega,
Gdy policjant ruch wstrzymuje.
Więc też przytrzymują zbiega,
Co przez jezdnię się szwarcuje.

Bystrość nigdy nie zawadzi

Zdawałoby się że okres sowizdrzałów, pędziwiatrów, dziwaków, oryginałów przeminął. Niestety. Jest ich, że zaryzykowałbym powiedzenie, dużo więcej, Tylko obecnie nazywają się ludźmi nerwowymi. A wiadomo, że człowiekowi nerwowemu wszystko uchodzi. Taki jegomość nagadać może impertynencji drugiemu jegomościowi czy jejmościni (nawet i tak się zdarza) po to, żeby wreszcie zakończyć tę tyradę: „ja jestem nerwowy". Gorzej kiedy strona przeciwna uważa się również za nerwową. Wówczas najczęściej dochodzi do rękoczynów. Potem policja. Protokół. Wreszcie kryminał. A wszystkiemu winne nerwy. Zapieni się taki pan, zapluje sobie brodę i z zadowoleniem konstatuje odkrycie u siebie nerwowości, miast braku bystrości, co najczęściej jest powodem takich nerwowych komplikacji i zbytecznych nieporozumień. Jak wyglądają te najczęstsze incydenty i awanturki? Wystarczy rzucić okiem na obrazki, które są wycinkami z tego życia codziennego i szarego. Nie trudno wywnioskować z tego łańcucha zdarzeń, które sami powodujemy, że finałem będzie tylko zdenerwowanie się.

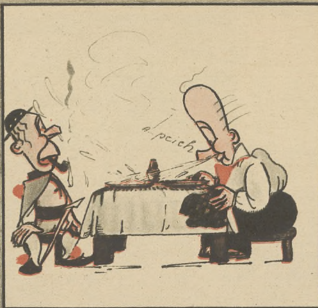
A jest tak jeśli ktoś, kto chce żyć łatwo i wygodnie dochodzi do wniosku, że tylko pełna swoboda postępowania może mu takie życie udostępnić. Nie krępuje się nikim i niczym. I rzeczywiście! Bystry obserwator to rozkrępowanie zauważy na ulicy, w teatrze, w kawiarni, w tramwaju, w pociągu (o, tu należałoby szerzej pociągnąć piórem ale to innym razem) i o Boże, nawet w domu. Tylko niestety nikt tego nie traktuje



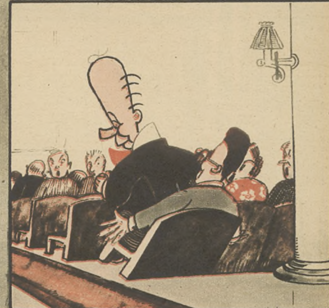
Gdy ulicą dama kroczy
I spojrzenie panów ściąga
Prędko minie sen uroczy,
Gdy przechodzień naurąga.



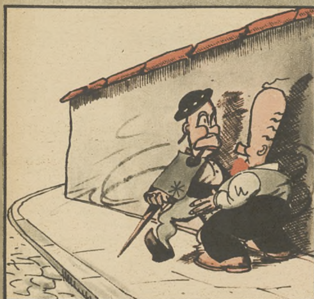
Chce koniecznie Knotek guza
Przegród z desek nie ominie.
Spadła cegła na intruza
Jak to widać na rycinie.



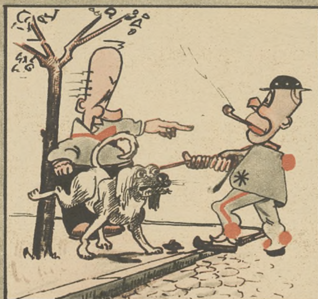
Kiedy Motek się „napycha",
Z Knotkiem miło sobie gada,
Ten mu w talerz celnie kicha,
Choć to przecie nie wypada.



Knotek nie jest przecież ptakiem,
Więc na miejsce się przedziera.
Zamaszyście swoim frakiem
Okulary widzom zdziera.



Knotek prawą, Motek lewą...
I karambol już gotowy.
Lecz gdy każdy się pilnuje,
O zdarzeniu nie ma mowy.



Knotek wzorem jest rozsądku
Więc Motkowi wnet tłomaczy,
Że pies wtedy jest w porządku,
Gdy zejść na ulicę raczy.



Czystość piękną jest zaletą.
Więc też Knotek pryska godnie,
Nie dba wcale że tuż za nim
Niecierpliwią się przechodnie.

poważnie, nie zastanawia się nad swoim postępowaniem z którego raczej robi się coś w rodzaju groteski, jakby żartu a niejednokrotnie uważa się to za coś oryginalnego, niezwykłego, co wzbudza (bywa i tak) nawet podziw. A przecież w tym wszystkim także jesteśmy śmieszni.

A jeśli brzmienie tytularne tego artykułu „bystrość nigdy nie zawadzi — do dobrego doprowadzi" nie odpowiada w całym znaczeniu treści, to treść myśli tytularnej na pewno. Bo do dobrego doprowadzić nas może odrzucenie błędnych pojęć o obowiązujących nas zasadach, przepisach i prawach, amerykańskich, czy angielskich sloganów na naszym gruncie tak rozpowszechnionych, nieopanowanej swobody a przyjęcie w to miejsce reguł bez których życie byłoby niemożliwe, europejskiego tempa, ostrożności, poszanowania wszystkich obowiązków i szacunku dla ogólnie przyjętych i zatwierdzonych przez ludzkość form życiowych.

Oczywista, formy jak formy. Jedne są już uformowane, inne się formują a jeszcze dalsze ulegają reformom. To nie ma nic wspólnego z pewną częścią garderoby damskiej. Ani też z reformą rolną za naszych „minionych dni". W każdym razie ci reformatorzy (nic wspólnego z kościołem Reformatów nie mają), że ich tak nazwiemy, to są ci właśnie, którzy takie życie pełne swobody postępowania udostępnić sobie wyobrażają przez nie krępowanie swojej natury.

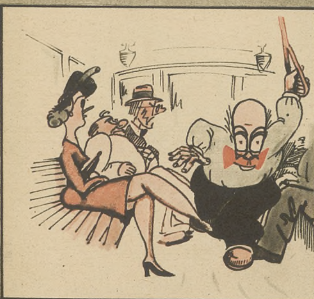
To samo jest w życiu codziennym z chwilą gdy do głosu dochodzi brak rozsądku. Egoistyczne „ja" nie może i nie powinno mieć miejsca. Wszędzie i na każdym miejscu nie powinny występować nasze ośmieszające nas w zetknięciu z rzeczywistością słabostki, które — nazywamy nerwowością. Tymczasem są one wynikiem braku bystrości, żeby z nich uczynić miły żart.

Stanisław Mróz

— bo na dobre wyprowadzi



Knotek nie podnosi w górę
Parasola dość wysoko.
Popsuł damie więc fryzurę,
A Motkowi podbił oko.



Pasażerek jest zwyczajem
Powystawiać w przejście nogi.
Knotek jadąc więc tramwajem,
Trafia w nogi, miast w podłogę



Motek zwalił się z plecakiem
Do tramwaju w samo przejście,

Inni wiszą znów okrakiem
Zatykając całkiem wejście.



„Momus" »Kochajmy dziewczęta«

„Momus" po długich i ciężkich okresach „kanikularnych" słabości, odzyskał, zdaje się, równowagę. Obecny program jest nareszcie dobrze zmontowany bez udziału „próbek bez wartości". Najlepiej reprezentowany jest tu taniec: przede wszystkim (zawsze bisujący) zgrany duet Kamińskich, doskonały w tańcach charakterystycznych i duet Heinrich ze swoim nieśmiertelnym bolerem (nieśmiertelność polega nie tyle na jakości, co na odwiecznym produkowaniu się w tym samym tańcu — może by tak raz na kilka lat, coś innego)?

Śpiew reprezentuje piękny mezo-sopran p. Kłosówny i rutynowany tenor p. Czerny. Urodziwa p. Wiśniowiecka ma zadatki na niezłą wodewilistkę; sola skrzypcowe p. Dworakowskiego wnoszą do programu powiew głębszego wzruszenia. „Chór Dana" odnalazł swój genre w piosenkach charakterystycznych, do czego go wybitnie predestynuje aparycja wykonawców. Interesująca konferensjerka p. Ściwiarskiego. Słowem program dużo, dużo lepszy.

Finał rewii „Maska śpiewa i tańczy". Od prawej ku lewej: Selmówna, Szczepańska, w otoczeniu Ostrowskiego, Wolińskiego i Maciaszczyka i Glinkówna.

Skecz „Janka-Hanka" z „Maski". Od lewej: Zb. Rakowiecki, Czerska, Chodakowska i Jaworski.

Fot. Zajączkowski

„Maska" »Maska śpiewa i tańczy«

Nie ma dwu zdań — już po inauguracyjnej rewii „Maski" widać, że stanie się ona najkulturalniejszym teatrem Warszawy. Tego nam właśnie dotąd najwięcej brakowało — równego poziomu, zestrojonego zespołu, rozpiętości zainteresowań. Sukces premiery nowego teatru przynosi zaszczyt jego twórcy i dyrektorowi p. Januszowi Kamienobrodzkiemu i niewątpliwie nie pozwoli mu spocząć na laurach, ale przeciwnie, zmusi do dołożenia wszelkich starań, aby to czołowe stanowisko „Maski" utrzymać i ugruntować.

Palmę pierwszeństwa tego udanego wieczoru trzeba przyznać naszemu najpiękniejszemu sopranowi p. Lucynie Szczepańskiej. Zarówno w ładnie dobranej wiązance Leharowskich melodii, gdzie sekundował jej, aksamitny, jak chce p. Zdzitowiecki, baryton p. Zakrzewskiego, jak w „Wielkim walcu" a zwłaszcza w prześlicznej „Serenadzie księżycowej" — pani Lucyna, przybrana w efektowne toalety, roztacza cały powab swojej kobiecości i czaruje prześlicznym głosem, niedarmo „słowiczym" zwanym. Wśród panów — bezkonkurencyjny na swoim miejscu tj. w rewii Zbyszek Rakowiecki dzierży bezapelacyjnie prym. Jest jednak za mało wyzyskany — jeden słaby skecz (ach! te skecze — to stała pięta Achillesa wszystkich teatrzyków) i duet z Xenią Grey to stanowczo za mało. Przydałby się jakiś numer (na przyszłość) taneczno-wokalny w którym sympatyczny p. Zbyszek celuje.

Ostrowski, zaprodukował aż pięć numerów tanecznych, w większości których dzielił sukces twórcy z odtwórcą — najlepiej wypadła brawurowa polka z Talą Żukow, Ostrowskim i Maciaszczykiem.

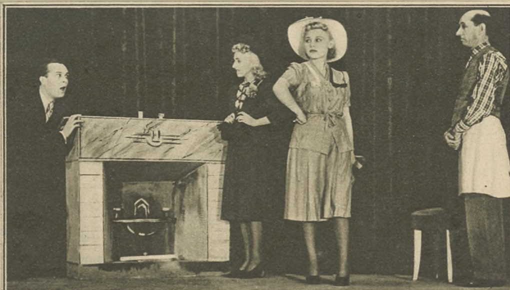
„Dziewczyna z tawerny" i „Dożynki" to typowe rewiowe numery dające pole do popisu śpiewnego p. Zakrzewskiemu i tanecznemu baletowi z Glinkówną na czele.

Na deser zachowaliśmy primabalerinę Stanisławę Selmównę, która tańczy trzykrotnie, za każdym razem tak, jak tylko ona umie, lekko, powiewnie, finezyjnie. W „Srebrnej królewnie i błękitnym paziu" przeszkadza jej często partner.

Wśród plusów zespołu wyróżnić trzeba p. Chodakowską za recytację „Mnie na nim nie zależy" (pewne analogie w typie niezapomnianej Żelichowskiej) dalej Xenię Grey, rutynowanego wodewilistę, doskonałego a niestety po macoszemu potraktowanego komika, Stanisława Jaworskiego i niezrównany „Chór Juranda".

Kierownictwo artystyczne i literackie — niezawodnego T. Zdzitowieckiego. Dekoracje pp. Galewskich na poziomie.

Orkiestra p. Sillicha miała tremę premierową przez kilka dni.

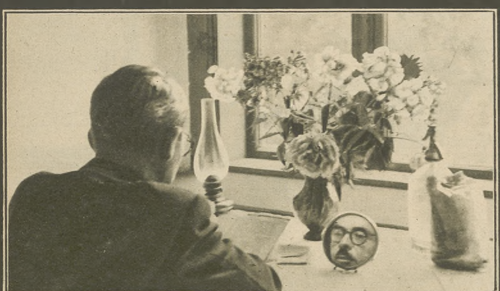


„UL" »Owszem, owszem...«

Nareszcie można o programie „Ula" powiedzieć — udany. Wybitna poprawa to przede wszystkim teksty skeczy i piosenek. Udział Słępowskiego i Węgrzyna — to przecież wystarczający sprawdzian najlepszego wykonania. Powrót St. Górskiej, umiejącej, jak nikt, swoim wdziękiem, temperamentem i humorem ożywić każdy skecz i każdą piosenkę — wnosi w nieco „archaiczną stęchliznę" trącącą atmosferę, dużo życia. Kapliński i Bittnerówna zadziwiają wszechstronnością zainteresowań i aktorskim podkładem swoich tańców. Pominąć również nie można doskonałej Chmurkowskiej oraz Wilbinowskiego i Pawłowskiego. Dobre piosenki „Chóru Dana — dobre dekoracje prof. Jarockiego. Zespół w „Ulu" trzeba odmłodzić. Piecza nad całością dyr. Boczkowskiego. **C. Pudłowski**

UWAGA! FOTOAMATORZY!

Dzisiaj na odmianę zupełnie coś innego: mianowicie odbicie w lustrze do golenia. Właściwie odbicie jest małe, jako że i lustro jest małe, ale zdjęcie samo w sobie jest również bardzo miłe, a przy tym jest dobre technicznie. I tutaj jak na wielu innych już zdjęciach możemy zaobserwować, że prostota jest jednym z czynników, który raczej podnosi jakość zdjęcia, niż go psuje. Weźmy choćby nasze: cóż tu widzimy! lampę, zupełnie prymitywną, ładny — to trzeba przyznać — bukiet kwiatów, syfon i jakąś torbę papierową, wreszcie lustro. A jednak jak ładnie to wszystko razem jest sharmonizowane! Jak ładnie odcina się na ciemnej ramie okiennej. I na tle tego wszystkiego ta sylwetka. Zdjęcie wykonał p. Mazurkiewicz z Krakowa, apar. Velti, czas 1/25 sek., przesł. 5.6.



Drugie zdjęcie jest słabsze technicznie, za to pod względem malowniczości nie ustępuje pierwszemu, o ile go jeszcze nie przewyższa. Przedstawia on wędrownego szewca, który w miasteczku rozkłada swoj warsztat, by naprawiwszy mieszkańcom dziury w butach, powędrować dalej. Nawet ta płachta, rozpięta od deszczu i słońca, choć tak uboga, nadaje obrazkowi charakteru. Wykonał go p. Andrzej Uhl z Krakowa, nie podawszy nam bliższych danych. Właściwie nie powinno jego zdjęcie znaleźć się w numerze, jednak szkoda go było dla braku danych pomijać.



ŚWIAT SIĘ ŚMIEJE

DELIKATNIE

Mąż po kilku latach małżeństwa: — Kiedy cię poznałem, Michasiu, byłaś bardzo miłą dziewczyną, ale jeden błąd i tak miałaś.

Żona: — Jaki?

Mąż: — Ano ten, że jeszcze byłaś wolna.

PRZED INSPEKCJĄ

Kapitan do żołnierzy. — Jutro odbędzie się inspekcja. Przyjeżdża inspektor sił zbrojnych. Będzie się na pewno o wiele rzeczy pytał. Proszę odpowiadać przytomnie i rozsądnie. Może na przykład postawić takie pytanie: w jakim właściwie celu utrzymuje państwo wojsko? Co też odpowiecie?

Kanonier X: — Tego ja się też nie mogę domyśleć, panie kapitanie, choć dużo nad tym myślałem.

„Kiedy on skończy to dodawanie, to po wyniku pozna, że ta czarna plama u góry, to nie jest 5 ale kleks zrobiony przez muchę“. (Marc Aurelio)

*

ZAGALOPOWAŁ SIĘ

Nauczyciel do uczniów wskazując na swe czoło: — Cyklopi byli to ludzie, którzy mieli oko tam gdzie człowiek nie ma niczego.

Pies policyjny: „Właściwie powinienem oddać ją na policji“. (Das Illustrierte Blatt)

Pani domu: „Wszystko to ładnie, moja Kasiu; kazałam ci wprawdzie zobaczyć, czy woda nie jest za gorąca, ale tego nie miałam na myśli“. (Marc Aurelio)

TO CIEKAWE!

Kapitan okrętu do pasażerów: — Teraz, proszę państwa będziemy przejeżdżać przez równik.

Pasażerka: — Tak? Elizo, proszę mi przynieść lornetkę, musze go dokładnie obejrzeć!

„Ta ostryga jeszcze żyje, panie kelnerze!“ (Judge, Ameryka)

KUZYNOWIE

Krystian VII, król duński lubił bardzo podróżować. Żeby się zabezpieczyć przed niepożądanymi wizytami, podróżował incognito. Razu pewnego przyjechał do jakiegoś małego miasteczka holenderskiego. Nie wiadomo jakim sposobem rozeszła się jednak wiadomość, że w miasteczku przebywa król. Niedługo potem stanął przed Krystianem VII jeden z obywateli trzymając w ręce rulon pergaminu. Król przyjął go i zapytał, czego by sobie życzył. Wtedy obywatel rozwinął pergamin i zaczął udowadniać królowi, że jest jego krewnym. Król ubawiony wysłuchał całej historii, po czym rzekł: „Dobrze, zgadzam się, ale niech pan to czyni incognito tak jak i ja“.

SZACHY

KĄCIK SZACHOWY Nr. 23 (26)

A. DZIAŁ ZADAŃ

3-chodówka Nr. 23 (26).
K. A. L. Kubbel (I nagr. — ex aequo — „Szachmaty“ 1926).
Czarne: Ke5, Wd1 d6, Gh3, Sb2, piony: b6, g2, g3)8(.
Białe: Ke8, Hf3, Wa6, Ge7, Sb4 e1, piony: d2, d7, f5 (9).
3-chodówka. 9+8 = 17.
Mat w 3 posunięciach.

Końcówka (studium) Nr. 23 (26).
H. Rinck (I nagr. — „L'Italia Scachcist.“ 1923).
Czarne: Kb2, Gc8 g7, pion: a6 (4).
Białe: Kg5, We1, Gb6 (3).
Końcówka (+) 3+4 = 7.
Białe zaczynają i wygrywają.

Rozwiązanie 3-chodówki Nr. 22 (25). (Scheel): 1. G—c2- I. 1... Wd×c2 2. W—b5† i 3. ×. II. 1... Wc×c2 2. W—a5† i 3. ×. III. 1... K×c3 2. W×c4† i 3. ×. IV. 1... S×g2 2. H—c7 i 3. ×. V. 1... G—e6 2. Wc9×c4† i 3. ×. VI. 1... inaczej 2. Wc3×c4† i 3. ×.

Rozwiązanie końcówki Nr. 22 (25). (Troicki): 1. c8 H G×c8 2. h×g3 K—g4! 3. K—h2 G—b7 4. e4! G×e4 (A) 5. S—d7 f2 6. S—f6† K—f5 (B) 7. S—g4 K×g4 pat.

(A) 4... G—a8, G—c8 dow. 5. S—d7 (S—c6) dowolnie 6. S—e5 remis.

(B) 6... K—f3 7. S×e4 K×e4 8. K—g2 K—e3 9. K—f1 remis.

B. DZIAŁ PARTII

PARTIA Nr. 41 (44)

Białe: Foltys — Czarne: Krygiel
grana w turnieju w Mor. Ostrawie w r. 1938
Obrona sycylijska

1.	e4	c5	9.	G—d2	H—a3
2.	S—f3	d6	10.	W—c1	G—d7(3)
3.	b4(1)	S—f6	11.	S—e5	e6
4.	b×c5	S×e4	12.	W—c3!	H—e7!
5.	c×d6	H×d6	13.	W—c7	H—d6
6.	d4	H—b4†(2)	14.	H—c1	G—e7(4)
7.	c3!	S×c3	15.	W—c8!!	G—d8?(5)
8.	S×c3	H×c3	16.	W×d8†	Czarne poddały się.

UWAGI:

(1) Gambit ten w podobnych pozycjach obrony sycylijskiej stosował Marshall i Spielmann, obecnie i Keres. Wymaga on bardzo precyzyjnej gry z obu stron.

(2) 6... G—g4 7. G—d3 G×f3? 8. H×f3 H×d4 9. H×e4!

(3) 10... G—g4? 11. S—e5!, jeśli zaś 10... S—c6 11. d5 poczem G—b5.

(4) 14... H×d4 15. W—c8† G×c8 (K—e7? 16. S×d7) 16. H×c8† K—e7! 17. H×b7 K—f6 18. H—f3†.

(5) Dłużej broniło, lecz także niewystarczającym było: 15... G×c8 16. H×c8† H—d8 (G—d8 17. G—b5† poczem H×b7) 17. G—b5† S—d7 18. G×d7† K—f8 19. H×b7! W—b8 20. H×a7 W—b1† 21. K—e2 W×h1 22. G—a5 albo 22. S×c6.

Jeśli 17... K—f8 to 18. H×b7 H—d5! 19. H—c8† H—d8 20. H—c3 (grozi ewent. H—f3) G—f6 (albo 20... H—d5 21. G—e2!, lub też 20... f6 21. 0—0!) 21. H—f3 H—d5 22. G—b4 K—g8 23. G—e8! itd.

PARTIA Nr. 42 (45).

Białe: Fontein — Czarne: Tal
grana w Amsterdamie w r. 1939.
Obrona indyjska.

1.	d4	S—f6	10.	S—d4!	e×d5(3)
2.	S—f3	b6	11.	c×d5	Sb—d7(4)
3.	c4	e6	12.	S—f5	W—e8
4.	e3	G—b7	13.	G—f4	S—e5(5)
5.	G—d3	c5	14.	G—b5!	Sf—d7(6)
6.	0—0	G—e7	15.	G×e5!	S×e5(7)
7.	S—c3	c×d4	16.	G×e8	H×e8
8.	e×d4	0—0(1)	17.	Wf—e1!(8)	Czarne
9.	d5(2)	d6			poddały się.

UWAGI:

(1) Należało grać: 8... d5!, po 9. c×d5 S×d5! 10. G—b5 G—c6 białe nie uzyskałyby przewagi pozycyjnej.

(2) Nieprzyjemny ruch dla czarnych.

(3) 10... e5 11. S—f5!

(4) 11... S×d5 12. S×d5 G×d5 13. H—h5!

(5) Pozycja czarnych jest trudną do obronienia z powodu niewygodnego zacieśnienia w terenie.

13... S×d5 14. S×d5 G×d5 15. S×g7! K×g7 16. H—g4 K—h8 17. H—f5 S—f6 18. G—g5 poczym G×f6 itd. białe zdobiałe zdobywają conajmniej jakość.

(6) Lub 14... W—f8 15. G×e5 d×e5 16. d6 zdobywa ugurę.

(7) Czarne decydują się na oddanie jakości widząc, że mają przegraną partię, n.p.: 15... d×e5 16. G×d7 H×d7 17. H—g4! z podwójną groźbą mata na g7 i S—h6† zdobycia hetmana.

(8) Groźba f4 jest zabójczą n.p.: 17... g5 18. g3 g4 19. W×e5 d×e5 20. H×g4† poczym mat na g7.

PARTIA Nr. 43 (46).

Białe: Dr. Voellmy
Czarne: Staehelin
grana w Bazylei w r. 1937.

Obrona Alechina.

1.	e4	S—f6
2.	S—c3	d5
3.	e5	S—d7
4.	e6	f×e6
5.	d4	g6(1)
6.	h4!	S—f6
7.	h5	g×h5(2)
8.	G—e2	H—d6
9.	G×h5†	K—d8
10.	S—f3	Sb—d7(3)
11.	S—g5	S—e5(4)
12.	H—e2	H—b4
13.	H×e5	G—g7
14.	S—f7†	K—d7
15.	a3	H—b6
16.	S×h8	S×h5
17.	H×h5	G×h8
18.	0—0	Czarne poddały się



„KRÓLOWA PRZEDMIEŚCIA"

Przeróbka na film znanego wodewilu Krumłowskiego przenosi nas w świat przedmieść dawnego Krakowa, świat, w którym pod trochę szorstkim obejściem kryją się złote serca, gdzie ludzie nie znają fałszu, ni obłudy. Przed naszymi oczyma wstają zapomniane już dzisiaj typy. A więc typ dawnej energicznej przekupki krakowskiej, która jak własną córką opiekuje się biedną sierotą, piękną, pełną dziwnego czaru Mańką. Dalej mamy typy podmiejskich chłopców, pełnych fantazji i szczerego uczucia, zachowaniem jednak swoim wywołujących uśmiech na naszych ustach.

W poszukiwaniu za modelami zjawia się na Zwierzyńcu malarz, pan z miasta. Poznaje piękną Mańkę, zakochuje się w niej i zyskuje jej wzajemność. Ona najpiękniejsza z dziewcząt, za którą szaleją wszyscy chłopcy przedmieścia po raz pierwszy w życiu kocha, choć w serce jej wkrada się zwątpienie, czy taki pan z miasta nie porzuci jej, nie zapomni. Nad jej pogodnym dotychczas niebem zaczynają się gromadzić chmury. Wuj młodzieńca, znany adwokat nie chce ani słyszeć o małżeństwie swego siostrzeńca z biedną dziewczyną z przedmieścia. Usiłuje Mańkę przekupić. Ona oburzona tego rodzaju postępowaniem odtrąca pieniądze i postanawia zerwać z malarzem, nie chcąc przeszkadzać jego karierze. Ale nie dość tego zmartwienia. Na niewinną dziewczynę pada podejrzenie o podpalenie domu. Wuj malarza wzruszony szlachetnym postąpieniem dziewczyny w stosunku do jego siostrzeńca podejmuje się jej obrony. Przeglądając jej papiery odkrywa, że jest ona jego nieślubną córką, której nadaremnie przed laty poszukiwał. I los znowu uśmiecha się do pięknej Mańki. Wychodzi na jaw jej niewinność, a adwokat już nie stawia przeszkód małżeństwu siostrzeńca.

Helena Grossówna

Ilustrowany Kurjer Polski — Krakau, Redakcja: ul. Piłsudskiego 19 tel. 213-93 — Wydawnictwo: Wielopole 1 tel. 135 60 — Pocztowe Konto Czekowe: Warschau Nr 900